POD SZTANDAREM NIEPOKALANEJ

Styczeń 2016 **Czasopismo rzymskokatolickie** **Nr 1 (69) 2016**

"Nic Monarchów nie odstrasza,

Do Betlejem spieszą,

Gwiazda Zbawcę im ogłasza,

Nadzieją się cieszą"

"Dzieje wszystkich nieszczęsnych błędów w sprawie życia duchownego, które odrywały tysiące dusz od Kościoła, najlepiej dowodzą, że aby być na wskroś świętym, trzeba być na wskroś katolikiem, na wskroś rzymskim katolikiem, gdyż poza rzymskością nie masz ani katolicyzmu ani w ogóle świętości". (O. Fryderyk William Faber, *Postęp duszy, czyli wzrost w świętości*, Kraków 1935, ss. 327-328)

Spis treści

Uroczystość Trzech Królów 3
Ks. Jakub Wujek SI, Bp Władysław Krynicki

Św. Józef przy żłobie 6
Ks. Antoni Kotarski

Żywoty Świętych Pańskich. – Św. Jan Jałmużnik, patriarcha Aleksandrii 7
Ks. Władysław Hozakowski

Kościół a herezja 11
Ks. Ignacy Grabowski

Chrześcijańska filozofia życia. – Wartość czasu 13
O. Tilmann Pesch SI

Postęp duszy czyli wzrost w świętości. – Lenistwo duchowe 14
O. Fryderyk William Faber

Droga dziecięctwa duchownego. – Marnotrawne syny i córki 29
O. Leon Pyżalski CSsR

Utarczka duchowa. – O czasie jakiego użyć należy na nabycie cnoty i znakach po jakich poznać można, żeśmy znacznie w niej postąpili 32
Ks. Wawrzyniec Scupoli

Uroczystość Trzech Królów

Ks. Jakub Wujek SI, Bp Władysław Krynicki

Syn Boży przyszedł na ziemię zbawić nie tylko Żydów, ale i pogan. Dotąd oznajmił się tylko Żydom przez aniołów, a w obrzezaniu swoim okazał się być prawdziwym potomkiem Abrahama i Dawida. Ale Go jaszcze poganie nie znali, a poznać byli winni, aby spełniło się proroctwo Izajasza: *I będą chodzić narody w światłości twojej, a królowie w jasności wejścia twojego* (Iz. 60, 3). Dziś to właśnie poganie poznali Zbawiciela. Dzisiaj, na zawstydzenie żydowskiego narodu i na okazanie swego miłosierdzia, Bóg wszechmogący, przy pomocy osobliwej, a nigdy przedtem niewidzianej gwiazdy, daje poznać swego Syna trzem mędrcom, pierwocinom narodów pogańskich. A tak słusznie uroczystość dzisiejsza przez Kościół święty nazwana jest Zjawieniem Pańskim, albowiem dziś Zbawiciel nasz objawił się czyli dał się poznać w osobach owych mędrców wszystkim narodom ziemi. Aby ta uwaga pobudziła nas do większej wdzięczności ku Panu Jezusowi, rozważmy pokrótce Ewangelię dnia dzisiejszego.

Chciał Chrystus Pan wszystek świat pociągnąć do czci sobie należnej i w tym celu, wkrótce po Narodzeniu swoim w stajence betlejemskiej, pobudził trzech mężów, aby Mu pokłon oddali. Ewangelia święta nazywa ich mędrcami, a starodawne podanie nadto mówi, że i królami byli jakichś bliżej nam nieznanych, wschodnich narodów. Znali się oni na astronomii, czyli nauce o gwiazdach, a wiedzieli też prawdopodobnie z proroctwa Balaama, wieszczka pogańskiego, iż miała powstać gwiazda z domu Jakuba, to jest mąż z narodu Izraelskiego, który miał opanować świat cały. Ujrzawszy tedy nową, odrębną od innych gwiazdę, a z natchnienia Ducha Świętego rozumiejąc, iż ona znamionowała tego nowonarodzonego Króla niebieskiego, miłością Bożą rozgrzani, nie bacząc na trudy dalekiej podróży, wybrali się szukać owego Króla. A mając za przewodnika gwiazdę, przyszli za nią do ziemi żydowskiej, ona zaś, doprowadziwszy ich do Jerozolimy, do czasu zniknęła. Tam się więc spodziewali znaleźć tego, do którego serce ich tęskniło. Lecz Pan nasz, który, przyszedłszy na ziemię, przyjął postać sługi, obrał sobie Betlejem ku narodzeniu, a Jerozolimę ku umęczeniu. Ale zapyta kto: czemu gwiazda zniknęła? Oto dlatego, iż w Jerozolimie mieszkali przełożeni kapłanów żydowskich i uczeni, znający dobrze proroctwa Starego Zakonu. Łatwo się więc było od nich dowiedzieć o miejscu narodzenia Zbawiciela, bo to już dawno mężowie Boży przepowiedzieli. Pytają tedy owi trzej pielgrzymi: *Gdzie jest, który się narodził, król żydowski?* Jakże wielką była ich wiara i odwaga! Nie lękają się Heroda,

choć wiedzą, że on w Jerozolimie królował i że każdy, kto za życia królewskiego innego króla mianuje, gardłem to i majętnością płaci. Mają syna Herodowego w złotej kołysce, a szukają Syna ubożuchnej Matki, w żłobie leżącego. Jeszcze Chrystusa nie widzieli, a już się dla Niego narażają.

A usłyszawszy król Herod, zatrwożył się i wszystka Jerozolima z nim. Niewiernych Żydów i bezbożnego Heroda strach zewsząd ogarnął. Mocarza świata przestraszyło Niemowlę w pieluszkach leżące; a cóż będzie, gdy się okaże na niebie majestat Sędziego? Tymczasem przecież okrutnik zamyśla pozbyć się Tego, o którym mylnie sądzi, iż na tron jego ziemski czyha, aby na nim zasiadł. Woła przeto kapłanów i nauczycielów biegłych w Piśmie świętym i pyta, gdzie by się miał narodzić Chrystus, obiecany Mesjasz. A oni mu rzekli: *W Betleemie*, miasteczku *Judzkim, bo tak jest napisano przez proroka* Micheasza. Wówczas Herod zobowiązał mędrców, aby, gdy się dobrze wywiedzą o Dzieciątku, nie zaniechali mu oznajmić. Udał przed nimi, że sam również ma zamiar jechać do Betlejem i pokłonić się Panu. Już wtedy stał na zdradzie Zbawicielowi, ale nic nie wskórał, albowiem Ten, który dobrowolnie dla nas raczył się narodzić, dobrowolnie też, gdy sam tego zechce, położy za nas życie swoje. – I dzisiaj nie brak na świecie takich Herodów, którzy dla marnej uciechy, dla znikomego grosza, dla otrzymania zyskownego urzędu nie lękają się przestąpić przykazania i sprzeciwić świętej woli Pana Boga. Aleć poznają po niewczasie, jak dalece przemijające były rzeczy, o które tak pilnie się starając, wieczne wesele stracili, a wieczne potępienie zyskali.

Trzej królowie, wysłuchawszy, co im Herod mówił, odjechali do Betleemu. A oto gwiazda, którą byli przedtem widzieli, a która przed przybyciem ich do Jerozolimy zniknęła, znowu się ukazała i szła przed nimi i stanęła nad miejscem, gdzie było Dziecię Jezus. Pełni radości, weszli do domu i znaleźli tam Dzieciątko z Maryją, matką Jego i upadłszy, pokłonili się Jemu. A otworzywszy skarby, które z sobą przywieźli, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę. Przypatrz się, chrześcijaninie-katoliku, jak wielką jest i wiara i pokora owych bogobojnych mężów. Nie zrażają się ubóstwem tego Króla, ani nędzną stajnią, ani twardym żłobem, ani prostymi pieluchami, ale upadłszy na oblicze swoje, pozdrawiają Go, jako Boga i Pana swojego. A wiedząc, że wszystko co mieli, od Niego mieli, wszystko Mu też zaraz poddali: ciało swoje, pokłonem niskim; duszę, uwielbieniem pobożnym; majętność, ofiarowaniem darów swoim. Złoto dali Mu na podatek, jako wielkiemu Panu i Królowi; kadzidło na ofiarę, jako Bogu Najwyższemu; mirrę na pogrzeb, jako śmiertelnemu człowiekowi. Zawstydzają ci święci mężowie nasze niedbalstwo, gdyż za ukazaniem się gwiazdy i za wewnętrznym natchnieniem natychmiast udali się na szukanie Jezusa; a my tak ociężali jesteśmy w pracy nad zbawieniem.

Zawstydzają nierozum nasz, gdyż dla Chrystusa wszystko opuścili; a my dla lada pokusy i łakomstwa Boga porzucamy, łamiąc przykazanie Jego. Zawstydzają niestateczność naszą, gdyż choć co dobrego zaczniemy, rzadko wytrwamy w tym do końca. Zawstydzają chciwość naszą i niemiłosierdzie, gdyż nam tak trudno ofiarować co Panu Bogu na ozdobę domów Bożych, lub na wspomożenie nędzy ludzkiej, podczas gdy na karty, zbytki lub nawet rozpustę bardzo hojni jesteśmy. Zawstydź się ich przykładem, chrześcijaninie-katoliku, lecz zarazem zachęć do szukania Pana Jezusa modlitwą, pokorą i życiem wstrzemięźliwym. A nie myśl, że Go szukać będziesz po omacku, bo oto masz jasne gwiazdy, które cię prosto do Niego zawiodą. Przyświeca tobie jasno naprzód wiara katolicka; przyświeca ci i rozum przyrodzony, tobie dany od Boga, abyś mógł rozeznać co złe, a co dobre; przyświeca ci bardzo jasno święte słowo i nauka Zbawiciela, która jest jako pochodnia jasna nogom twoim, abyś się nie potknął w ciemnościach świata tego. Przyświeca ci Zbawiciel sam przykładem swego żywota i Świętych, wybranych swoich. Jeśli za Nim pójdziesz, nie zginiesz w ciemnościach, ale będziesz miał światłość żywota.

Święci trzej mędrcy, nacieszywszy się Panem swoim i wypocząwszy nieco, otrzymali we śnie od Boga ostrzeżenie, aby nie wracali do Heroda; więc też inną drogą pospieszyli do krainy swojej. I ty, chrześcijaninie, idź za powyższym upomnieniem: nie wracaj do Heroda, to jest do dawnych grzechów twoich, a raz omywszy się z nieprawości, inną już drogą idź do prawdziwej ojczyzny twojej, do królestwa Niebieskiego. Nie słuchaj tych mędrków dzisiejszych, których się wiele namnożyło, a którzy radzi by świat odprowadzić od Boga, od Kościoła katolickiego, od świętych przykazań, radzi by wszystko wywrócić i jakiś nowy uczynić porządek, niezgodny ani z wiarą, ani z sumieniem chrześcijańskim; radzi by zaprowadzić obyczaje pogańskie. Nie słuchaj ich, ani nie chodź ich drogami, ale trzymaj się wiernie Zbawiciela i świętej Jego Ewangelii; składaj Mu zawsze sercem ochotnym złoto dobrych uczynków, kadzidło gorącej modlitwy i mirrę skruchy i szczerej pokuty, a za te dary otrzymasz od Niego pokój i błogosławieństwo na ziemi, a wieczne królestwo w niebiesiech.

Krótkie nauki homiletyczne na niedziele i uroczystości całego roku według *Postyli Katolickiej Większej* Ks. Jakóba Wujka opracował Ks. Władysław Krynicki. Włocławek. Nakładem Księgarni Powszechnej. 1912, ss. 48-52.

Święty Józef przy żłobie

Wpośród tak wielu pociech duchownych, których święty Józef doznawał w oglądaniu Jezusa, jeden cierń przebijał jego czułe serce, mianowicie widok dolegliwości i cierpień, na jakie byli wystawieni w tej biednej i opuszczonej szopce Dzieciątko Jezus i Jego Najświętsza Matka.

Jakiejże boleści nie odczuwał patrząc na delikatne członki Dzieciątka, owiniętego w ubogie pieluszki, dręczonego ostrością zimna, leżącego na kłującej słomie! Ale pocieszał się, pamiętając, że taka właśnie była Boska wola, a tak i ta próba bardzo bolesna dla serca św. Józefa, wpływała korzystnie na niezależność i świętość jego duszy. Z pewnością święte Dzieciątko chętniej spoczywało na rękach św. Józefa, aniżeli w kolebce pozłacanej i wysadzanej perłami, bo Jemu najmilszymi są dusze pokorne, czyste i oderwane od wszystkich rzeczy tego świata.

Zamiast wygodami otaczał św. Józef Boskie Dzieciątko najczulszymi uczuciami serca, a starał się wynagrodzić Mu braki i boleści żłóbka najdelikatniejszymi i najstaranniejszymi troskliwościami. Tysiące pieszczot czynił on świętemu Dzieciątku, a tysiące otrzymywał od Niego łask. Pieszczoty Boskie nie polegają na tych umizgach miękkich, które tak często są w zwyczaju u ludzi tego świata, ale są to wyrażenia afektu, zupełnie czystego i świętego; są miłym zbliżeniem się Boga do duszy, przy czym odczuwa ona Jego tkliwą miłość i w uniesieniu zapewnia Pana o swej wzajemności. Takie to były pieszczoty, wymieniane pomiędzy Józefem a Jezusem.

Prośmy więc tego Świętego, który pieścił i obsługiwał z tak wielką troskliwością naszego Zbawiciela – prośmy go, aby nas uczynił współuczestnikami jego świętej czułości, która tak wiele pomaga do oderwania serca od przywiązań ziemskich i do powiększenia miłości Jezusa. Błagajmy zaś św. Józefa, aby nam wyprosił przez zasługi Jezusa wiele błogosławieństw i coraz większy, doskonalszy spokój serca. W tym celu przyrzeknijmy mu powstrzymać się teraz i w przyszłości od jakich bądź zbytecznych pieszczot, albo też zbyt czułych i świeckich rozmów, szczególnie gdyby one obrażać miały Jezusa.

Ks. Antoni Kotarski T. S., *Miesiąc marzec św. Józefa*, Warszawa 1939, str. 48-49.

Święty Jan Jałmużnik, patriarcha Aleksandrii

(559-619)

Św. Jan, dla swego miłosierdzia Jałmużnikiem zwany, urodził się w Amatus na wyspie Cyprze w roku 559. Ojciec jego był zawiadowcą, a raczej namiestnikiem tejże wyspy.

Już jako chłopiec okazywał Jan skłonność do miłosierdzia i miłość szczególną ku ubogim. Kiedy miał lat piętnaście, ukazała mu się, tak mówi legenda, we śnie panienka przedziwnej piękności i rzekła do niego: Jestem pierwsza między córkami

króla wielkiego; jeśli pozyskasz moją przyjaźń, zjednam ci łaskę u władcy swego. Dla mnie to On z nieba na ziemię zstąpił i ciało wziął ludzkie. Obudziwszy się ze snu, Jan przyszedł do przekonania, że owa panienka piękna, która Boga spowodowała do Wcielenia, to "Miłosierdzie miłościwe". Aby Bogu podziękować za łaskę oświecenia, poszedł do kościoła, gdzie napotkał żebraka na wpół nagiego. Jan zdjął suknię swą i dał ją żebrakowi. Nagle przystąpił do niego młodzieniec, który wcisnął mu w rękę worek pieniędzy, mówiąc: Weź to, przyjacielu. Zdumiony datkiem, chciał go zwrócić, kiedy usłyszał głos nadziemski: Wróci ci się stokrotnie, co dla imienia mego opuścisz; posiądziesz życie wieczne. Odtąd nabrał młody Jan szczególniejszej gorliwości w rozdawaniu jałmużny.

Idąc za wolą rodziców, pojął żonę, która go obdarzyła dwojgiem dzieci. Kiedy jednak śmierć osierociła go zupełnie, postanowił życie swe poświęcić wyłącznie na służbę Bożą. Rozdał cały swój majątek wielki ubogim i wstąpił do stanu duchownego. Wnet zajaśniał cnotami tak wybitnymi, że po śmierci patriarchy aleksandryjskiego, został wyniesiony na jego następcę r. 608. Niechętnie przyjął ofiarowaną mu godność.

Gorliwy pasterz starał się zawsze i wszędzie o doskonałość swych owieczek i bronił je od złego. Przede wszystkim starał się zaszczepić w ich serca bojaźń Bożą, bo wiedział, że bojaźń Boża podwaliną życia pobożnego. Bardzo ostro występował przeciwko nienależytemu zachowaniu się w kościele, tu strofował bez względu na stan i wiek. A było i podówczas wielu takich, którzy w swej niedbałości nie chcieli uszanować miejsca świętego. Kiedy razu pewnego spostrzegł, że gromada młodzieńców, zamiast słuchać słowa Bożego, rozmawiała przed kościołem, poszedł do nich, usiadł między nimi i rzekł: Gdzie są owce, tam musi być i pasterz; nie chcecie słuchać słowa Bożego w kościele, słuchajcie go tutaj. Zaczął do nich mówić o rzeczach wiary. Napomnienie odniosło pożądany skutek.

Jednym z głównych przedmiotów jego nauk była groza śmierci. Sam często myślał o końcu swym. Kazał sobie wymurować grób, ale nie pozwolił go wykończyć. Co dzień przychodził do niego jeden ze sług i mówił: "Grobu jeszcze nie dokończyłeś, czas na to największy, bo śmierć zbliża się jako złodziej".

Najprzedniejszym zadaniem życia jego była troska o ubogich. Skoro tylko został biskupem, kazał spisać wszystkich biednych w całym mieście, aby nikt nie

został bez wsparcia i opieki. Każdemu wyznaczył jałmużnę, którą zaufani jego co dzień rozdawać musieli. A było spisanych coś 7500 biednych. Nazywał ich "panami swymi" bo od nich, mówił, zależne moje zbawienie. Dwa razy w tygodniu, w środę i piątek, sam siadał przed podwojami kościoła, by każdy z żebraków mógł swobodnie zbliżyć się do niego i przedłożyć swe prośby. Kiedy razu pewnego zwrócono mu uwagę na to, że nie godzi się tak pospolitować biskupowi, rzekł: Jeżeli my biedni grzesznicy bez poprzedniego zawiadomienia możemy zbliżyć się każdej chwili do Boga i przedstawić mu swe prośby, dlaczegoż nie mają się zbliżać bracia nasi bezpośrednio do nas? Taką miarą, jaką my mierzymy, i nam będzie odmierzono. Kiedy się zdarzało, że jaki ubogi nie ośmielił się przybliżyć do niego, by prosić o jałmużnę, ogarniał go smutek i mawiał: Dziś biedny Jan nic nie zyskał, ani nie miał sposobności, by za swe grzechy złożyć ofiarę Panu Bogu.

Zbudował święty biskup wiele szpitali, domów chorych i przytułków dla bezdomnych, wspierał biednych kapłanów i wiele biednych rodzin. Na uwagę, że za wiele rozdaje, zwykł był odpowiadać: Wszystko co mam, należy tylko do Boga. Co odebrałem na włodarstwo swoje, muszę Mu oddać przez ubogich. Uczył przecież Zbawiciel: Coście jednemu z tych maluczkich uczynili, mnieście uczynili. Nigdy się też nie obawiał o wyczerpanie zasobów. A rozdawał ogromne sumy. Pan Bóg zsyłał mu też w cudowny sposób dobrodziejów, którzy na jego ręce składali znaczne datki pieniężne. Czym więcej rozdawał, tym więcej dostawał.

Z wielkich dochodów swego biskupstwa dla siebie nic nie zatrzymywał. Przeciwnie żył w największym ubóstwie i umartwieniu. Razu pewnego jeden z przyjaciół kupił mu bogate pokrycie na łoże z tym wyraźnym zastrzeżeniem, by go biskup używał dla siebie. W nocnej porze sługa podsłyszał Jana, jak narzekał, że pozwolił się skusić i pozwala sobie na takie zbytki. O ja grzeszny, tak mówił do siebie, ja tu zbytkuję, a tylu biednych braci Chrystusowych cierpi głód i zimno. Wielu cieszyłoby się, gdyby się mogli pożywić tym, co spada z mego stołu, a ja mam posiłku pod dostatkiem, mam swe mieszkanie wygodne, i sypiam jeszcze pod tak drogim pokryciem. Nazajutrz rano sprzedał je, a pieniądze rozdał ubogim.

Jak wielką była szczodrobliwość, taką była i jego pokora, cichość serca i zamiłowanie do pokoju. Kiedy ukarał pewnego duchownego; przerwał Mszę św., gdy sobie przypomniał, że karą rozbudził gniew, padł do nóg winowajcy i błagał o

przebaczenie. Wzruszony tą pokorą, ukarany przestępca ucałował stopy świętego biskupa i stał się odtąd mistrzem pokory. Gdy krewny skarżył się biskupowi, że pewien handlarz go zelżył, przyobiecał św. Jan, że odwetem całe miasto dziwić się będzie. Kazał go zawołać i darował mu obfitą daninę kościelną. I w rzeczywistości całe miasto dziwiło się temu czynowi.

Św. Jan Jałmużnik umarł w podróży do Konstantynopola na wyspie Cyprze w roku 619 w 60 roku życia. Relikwie jego spoczywają w Presburgu na Węgrzech, dokąd się z Konstantynopola dostały za czasów Macieja Hunyada.

Nauka

Katechizm wylicza trzy najprzedniejsze dobre uczynki, którymi możemy sobie zaskarbić zasługi dla nieba: Modlitwa, post i jałmużna. Wzorem miłosierdzia przez jałmużny jest św. Jan z Aleksandrii; słusznie nosi przydomek Jałmużnika. Cały swój majątek rozdał ubogim, wszystkie swe dochody przeznaczył dla biednych. Kiedy umierał, ostatni pieniądz, jaki miał przy sobie, dał żebrakowi. Sam cierpiał biedę przez całe życie, a jednak życie jego nie było bez celu, wypełnił zadanie mu wyznaczone i poszedł do nieba po wieczną nagrodę. Gdyby Jan był strwonił swój majątek na zabawy, na zbytki, a może nawet na grzeszne rozrywki, czy byłby świętym? Zapewne nie. "Nie przypominam sobie, mówi św. Hieronim, abym kiedy był czytał, że umarł niedobrą śmiercią, kto ćwiczył się w uczynkach miłości i miłosierdzia; bo taki ma zbyt wielu przyjaciół, którzy modlą się za niego; niemożliwą jest rzeczą, aby Pan Bóg nie wysłuchał modlitwy tylu proszących". "Cokolwiek uczynicie jednemu z tych maluczkich", mówi Pan Jezus, "mnieście uczynili". "Idźcie precz ode mnie w ogień wieczny", powie kiedyś Pan Jezus, "albowiem byłem nagi, a nie przyodzialiście mnie, byłem głodnym, a nie nakarmiliście mnie". A kiedy się zapytają potępieni: Panie, kiedyś był nagi, głodny? Myśmy Ciebie nie widzieli! – wskaże nam na biednych. Jałmużna nie zuboży, jak modlitwa nie znuży, a post nie schudzi.

Żywoty Świętych Pańskich. Na podstawie kalendarza kościelnego z uwzględnieniem dzieła ks. Piotra Skargi T. J. oraz innych opracowań i źródeł, na wszystkie dni całego roku ułożył ks. Władysław Hozakowski. Poznań [1908]. KSIĘGARNIA WYDAWNICZA POLSKA. WIELKIE GARBARY 37.

POSTĘPOWANIE INKWIZYCYJNE PRZECIW HERETYKOM W ŚREDNIOWIECZU

KOŚCIÓŁ A HEREZJA

KS. IGNACY GRABOWSKI

Chrystus dał Kościołowi depozyt wiary, by go nieskazitelnie przechowywał, strzegł przed błędami, wyjaśniał wątpliwości i szerzył jej znajomość. *Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody...* – mówi Chrystus – *nauczając je chować wszystko com wam kolwiek przykazał* (Mt. 28, 19. 20). Kościół wierny swemu powołaniu od samego początku spełnia posłannictwo nauczycielskie i powagą Chrystusa chroni naukę sobie zwierzoną przed fałszywymi nauczycielami: *są niektórzy* – głosi Apostoł – *co was trwożą i chcą wywrócić Ewangelię Chrystusową* (Gal. 1, 7; por. I Tym. 6, 20). Św. Jan ostrzega wiernych: *Jeśli kto przychodzi do was, a tej nauki nie przynosi, nie przyjmujcie go do domu* (II Jan 10). Św. Paweł głosi: *człowieka heretyka strzeż się* (Tyt. 3, 10). Apostołowie piętnują fałszywych proroków, a winnych skazują na kary duchowe i materialne i niweczą ich burzycielskie zamiary. *Ja wprawdzie nieobecny ciałem,* – mówi Apostoł – *ale obecny duchem, już jakby obecny osądziłem tego, który tak uczynił* (I Kor. 5, 3; por. I Tym. 1, 20). Apostoł też zapowiada, że i w przyszłości powstaną fałszywi nauczyciele: *Duch jawnie powiada, iż w ostateczne czasy odstąpią niektórzy od wiary, przystając do duchów obłędliwych i nauk czartowskich* (I Tym. 4, 1) i dlatego zachęca zwierzchników Kościoła do czujności: *Pilnujcie sami siebie i wszystkiej trzody, nad którą was Duch Święty postanowił biskupami, abyście rządzili Kościołem Bożym, który nabył krwią swoją* (Dz. Ap. 20, 28). Zwierzchnicy kościelni rządy swe sprawują powagą Chrystusa: *Zamiast Chrystusa tedy poselstwo sprawujemy, jakby Bóg przez nas napominał* (II Kor. 5, 20). Obowiązek ten obrony wiary przechodzi na następców Apostołów tj. na biskupów, oraz na kapłanów.

Słowa prorocze Apostoła spełniły się, albowiem w ciągu wieków powstawało wielu fałszywych nauczycieli, siejących błędy kąkolu w winnicy Chrystusowej. Błędy te jednak pod czujnym okiem zwierzchników Kościoła pierzchały tak, że o wielu z nich obecnie pozostało jedynie wspomnienie historyczne. Błędy heretyckie zostały potępione przez Stolicę Apostolską i przez Sobory powszechne, oraz przez Synody partykularne, tak np. na Soborze Nicejskim r. 325 została potępiona nauka Ariusza; na Soborze Efeskim r. 431 – Nestoriusza; na Chalcedońskim r. 451 – Eutychesa; na Konstantynopolitańskim III r. 681 – monoteletów; na Nicejskim II r. 787 – obrazoburców; na Soborach Lateraneńskich r. 1179, 1215 wiele błędów zostało napiętnowanych i potępionych. Synod w Quierzy r. 849 potępia Gottschalka, który głosił błędną naukę o przeznaczeniu. Pisma jego zostały skazane na spalenie, on został pozbawiony praw i przywilejów kapłańskich, skazany na chłostę i wtrącony do więzienia (1).

Skazywano heretyków z zachowaniem wielu formalności. Oskarżony miał też sposobność obrony. Oskarżonych o herezję starano się naprzód przekonać o błędach i sprowadzić na drogę prawdy. Kościół stopniowo postępuje: naprzód stosuje środki łagodne, wpływa na poprawę, a nakłada kary dopiero wówczas, gdy łagodne środki okazały się bezskuteczne (2). Kogo nie poprawia nauka, niech kara odstraszy – mówi Marcin V (*Inter cunctas*, 1418). Papież Leon I każe biskupom czuwać i śledzić heretyków i grozi im sądem Bożym, gdy nie będą spełniać swego zadania – obrony wiary świętej. Wszyscy wierni winni donosić kapłanom o heretykach. Przeciw heretykom bowiem cały świat zbrojnie może powstać (3). (...)

Ks. Ignacy Grabowski, *Postępowanie inkwizycyjne przeciw heretykom w średniowieczu*. Warszawa. Rok 1937. (Odbitka z "Głosu Kapłańskiego"), ss. 3-4. (Początek Rozdziału I. *Kościół a herezja*)

Przypisy: (1) Mansi, *Amplissima Collectio*, 14, 919; Mig. P. L. 115, 1402. (2) S. Augustinus, *Epistola ad Donatum*, M. 33, 366: "Unde ex occasione terribilium iudicum ac legum, ne in aeterni iudicii poenas incidant, corrigi eos cupimus non necari... Sic igitur eorum peccata compesce, ut sint quos poeniteat peccasse". (3) Leo I, *In consortium*, 444.

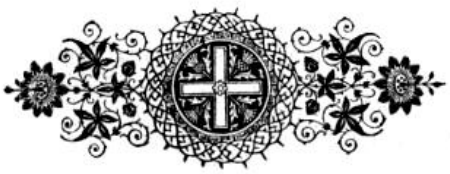

CHRZEŚCIJAŃSKA FILOZOFIA ŻYCIA

O. Tilmann Pesch SI

Wartość czasu

1. Wielu, w nierozumnym złudzeniu, tak się na czas swego życia zapatruje, jak gdyby ten nigdy się nie kończył, lub jak gdyby się kończył w bardzo odległej przyszłości, lub też jak gdyby wieczność nigdy nie miała się rozpocząć.

Czas jest drogi, tak pełen znaczenia, jak i wieczność, która się na nim oprze.

"***Czas krótki jest... Bo przemija kształt świata tego***" (1).

Mknie szybkowiosła łódka lekko i ciągle z biegiem prądu i tylko po zmianie brzegów możesz zauważyć, że ona nieustannie posuwa się naprzód. Podobnież i życie ludzkie posuwa się lekko i raźnie po gładkim prądzie czasu i tylko po śmierci towarzyszów spostrzegasz, że ono ciągle idzie naprzód.

Kto się skarży na czas, że mu zbyt szybko ubiega, ten raczej powinien się skarżyć na siebie, że go wcześniej dobrze nie używał.

Zależnie od tego, jak sam czasu używasz, gotów ci on służyć, albo i szkodzić.

Komu dni przechodzą, nie zbliżając go do celu, tego filozof indyjski przyrównywa do miecha, który oddycha, a nie żyje.

Szczęśliwi w niebie i nieszczęśliwi w piekle pragnęliby choć odrobinę czasu mieć jeszcze; pierwsi, aby powiększyć swe szczęście, drudzy, aby przez skruchę serdeczną ujść wiecznego zatracenia.

Używaj czasu, ale przede wszystkim tego, który jest w twej mocy. Nie wychwalajcie ciągle wczorajszego dnia i nie pokładajcie zbytniej ufności w jutrze, bo serce w piersiach i Bóg w górze działają teraz, w żyjącej teraźniejszości.

2. Żyj, jak gdybyś miał każdego dnia umrzeć; pracuj, jak gdybyś miał wiecznie żyć.

Przy użyciu czasu zważaj na prawdziwą pobudkę. Czas można tracić nie tylko nic nie robiąc, lecz także źle robiąc.

Często robi się wiele, a w rzeczywistości nic się nie robi, bo się nie robi tego, co się robić winno. Czas toczy się z szumem, spiesząc do morza wieczności. Pomóż mi, o Panie, aby mię każdy dzień zbliżał do Twego nieba.

Co chcesz czynić dla wieczności, to czyń natychmiast, skoro tylko możesz. Niech każda twoja godzina będzie zajęta, bo nie wiesz, czy ich jeszcze dużo mieć będziesz; nie pozostawiaj żadnej róży na krzewie, bo może, nim nowa zakwitnie, będziesz musiał umrzeć.

O. Tilmann Pesch SI, *Chrześcijańska filozofia życia*. Przekład z niemieckiego. T. I. Wydanie drugie. Kraków 1930, ss. 253-254.

Przypisy: (1) 1 Kor. 7, 29. 31.

POSTĘP DUSZY CZYLI WZROST W ŚWIĘTOŚCI

O. FRYDERYK WILLIAM FABER

Lenistwo duchowe

Jeżeli najcenniejsza ze wszystkich łask jest łaska wytrwania, z której tamte czerpią swą niepożytość, to z pewnością najszkodliwszą ze wszystkich przywar, żerujących na życiu pobożnym, jest jej przeciwieństwo lenistwo duchowe. Wątpię jednak, czy w praktyce z takim się doń odnosimy wstrętem, na jaki zasługuje. Pasożytuje ono na wszystkich trzech stanach duszy, któreśmy opisali, szczególnie zaś na zmęczeniu. Znużeni walką, skłonni jesteśmy poddać się ospałości i szukać wytchnienia z dala od Chrystusa. Zmęczenie, uginające się pod brzemieniem słabości, rodzi wstręt do suchości wiary wewnętrznej i wiedzie do poszukiwania pociechy w stworzeniach, które się kończy równie nieszczęśliwie jak przysłowiowy sen w śniegu. A kiedy trzeba się zrywać do dalszego boju, my żądni spoczynku podnosimy szemranie i chcemy choćby środkami przyrodzonymi przedłużyć jego trwanie, skoro już nadprzyrodzonych nie staje.

Sądzę, iż można powiedzieć, że każdy człowiek jest z natury leniwy. Czy widział kto kiedy człowieka – mam na myśli ludzi o zdrowym sercu – któryby z natury nie ciążył do lenistwa? Owszem, jest to objaw tak powszechny, że nawet skończony leń będzie się tłumaczył, iż taka już jest jego natura. Nikt nie rwie się sam z siebie do cięższej pracy, chyba że jest do tego zmuszony, bądź przez miłość pieniędzy bądź też przez obawę piekła. Lenistwo ze swej natury jest słodkie, słodsze niż najwspanialsze dary, które świat może ofiarować. Lecz szczególnie osoby duchowne mają osobliwą skłonność do lenistwa, z czego nie zawsze dostatecznie zdają sobie sprawę. Prawdziwie kontemplatywne powołanie należy da największych rzadkości w Kościele. Toteż prawie niemożliwością dla ogółu dusz jest poświęcenie całego czasu jedynie aktom cnoty religii oraz pielęgnowaniu we-wnętrznych pobudek i usposobień. Poza tym osoby, rozpoczynające życie duchowne uważają, nie zawsze zresztą słusznie, że mają obowiązek rozstać się z dawnymi swymi rozrywkami i zabawami. I tak pobożność ich wytwarza w nich pewną pustkę, nie zapełniając jej niczym. Dlatego bardzo trzeba, by ci którzy nie są dostatecznie zajęci pracą zawodową ani obowiązkami domowymi, zaprzęgli się do jakiejś zewnętrznej akcji społecznej lub charytatywnej. Zresztą, choćby nawet nasze tłumaczenie tego zjawiska nie odpowiadało rzeczywistości, jednakowoż jest faktem niezaprzeczonym i świat to zawsze złośliwie podkreśla, że osoby pobożne tworzą stan szczególnie ulegający lenistwu.

Skoro lenistwo stanowi tak skuteczną przeszkodę postępu, jest rzeczą niezmiernie doniosłą zapoznać się z nim dokładniej; przystępując do tego, zauważamy, iż zazwyczaj objawia się ono w jednej z siedmiu postaci, o których pomówimy.

Pierwsza z nich nosi zwykle miano **rozproszenia**. Łatwiej ją opisać niż ściśle określić. Jest to grzech, który nie ma własnego ciała, ale zwykł czepiać się czegokolwiek. Działa on milczkiem i niełatwo go odkryć. Najzdradliwszą zaś cechą rozproszenia jest okoliczność, iż uchodzi ono uwagi osoby rozproszonej nawet wówczas, kiedy bywa zawinione. Natomiast jego skutki mają się całkiem odwrotnie do niepozornej powierzchowności. W ciągu kilku godzin zdoła ono wniwecz obrócić łaski, zdobyte mozolną pracą długich miesięcy lub owoc całych rekolekcyj; przy tym szczególnie dlań sprzyjającym jest czas porekolekcyjny. Przyjrzyjmy się

nieco, na czym ono polega. Po fakcie każdy się spostrzega, iż był rozproszony, lecz nie zawsze się wie, na czym to rozproszenie polegało. Jakiś cień, leżący na duszy mówi mu, że coś tam nie było w porządku, lecz nie każdy umie ten nieporządek nazwać po imieniu.

Roztargnienie polega przede wszystkim na niespełnianiu pewnych spraw w swoim czasie, skutkiem czego jeden obowiązek depcze po piętach drugiego, a wszystkie razem stłoczone zamieniają się w jarzmo, pod którym stękamy i tracimy spokój ducha. Następstwem tego w większości wypadków jest, że brak nam czasu na wykonanie naszego dzieła tak, jak ono winno być zrobione: zbywamy je czym prędzej, z jakimś nieświątobliwym pośpiechem, z pragnieniem raczej pozbycia się go niż sumiennego wykonania, bardzo niewiele myśląc o Bogu. Słynna zasada francuskiego męża stanu "Nie czyń tego dziś, co możesz odłożyć na jutro", jakkolwiek przydaje się nieraz w roztropnym załatwianiu obowiązków światowych, to przecie niezmiernie rzadko ma zastosowanie bezpieczne w życiu duchownym. Niemniejsze zamieszanie mogłaby wprowadzić odwrotna zasada, którą miał postawić lord Nelson, iż należy każdą sprawę kończyć na kwadrans przed oznaczonym czasem. Właściwą zasadą jest spełniać wszystkie obowiązki po kolei, w miarę jak się nasuwają, bez pośpiechu a wytrwale, z oczyma utkwionymi w Boga. Nawet bez trzymania się jakiegoś jednostajnego, z góry nałożonego porządku, życie nasze codzienne zwykło sobie żłobić jakieś stałe łożysko, w którym każde zajęcie ma swój czas. Jeśli w tym kierunku będziemy współdziałali, unikniemy z jednej strony natłoku zapóźnionych zajęć, z drugiej zaś ujdziemy niebezpieczeństwa roztargnienia z powodu niezapełnionych chwil. Człowiek bez zajęcia nie może być ani człowiekiem szczęśliwym ani mężem duchownym.

Innym objawem rozproszenia jest przedłużanie ponad słuszną miarę grzecznościowych odwiedzin przez rozmowy bez końca. Nie chcę przez to powiedzieć, by w rozmowie naszej istniał jakiś moment, na którym mielibyśmy obowiązek urwać naszą pogadankę, lub w którym schodzi ona na wyraźnie złe tory. Pragnę jeno podkreślić doniosłość umiarkowania w tych rzeczach stosownie do okoliczności. Podobnie i w samotności możemy otworzyć do siebie przystęp rozproszeniu i poderwać działanie w nas pamięci na obecność Bożą przez przybieranie postawy niedbałej i gnuśnej. Strzeżmy się również dość nagminnego

nałogu zwlekania z rozpoczęciem danej pracy, skoro już raz się do niej zabierzemy. Ten szkodliwy nawyk nadwątla siłę naszej woli i rozkawałkuje niejako nasze życie, każąc nam trwonić dzień dzisiejszy w myśli o pracach jutrzejszych, których dzisiaj ani na jotę posunąć nie możemy. Ten sam wreszcie skutek rozpraszania ducha sprowadzają zbyt liczne modlitwy ustne, zewnętrzne praktyki i nabożeństwa, którymi się ponad miarę obciążamy. To wszystko powoduje tylko wieczny pośpiech i uczucie ciągłego napięcia, którego rychłym towarzyszem jest niesmak i zniechęcenie.

Niedostatek czuwania nad sobą w czasach i miejscach wytchnienia jest innym źródłem rozproszenia. Wypoczynek sam z siebie jest rzeczą niebezpieczną, ponieważ dla naszego dobra ma on nas trochę rozerwać i rozruszać, a ta rozrywka jest tak doniosła, że mądrze urządzony spoczynek staje się jedną z najskuteczniejszych pomocy życia duchownego, krynicą pożądanej wesołości i silną odtrutką na grzechy, popełniane myślą. Ale o tym jeszcze pomówimy później. Na razie wystarczy zaznaczyć, iż brak panowania nad sobą na rekreacji jest jedną z przyczyn rozproszenia. To samo trzeba powiedzieć o stawianiu zamków na lodzie w płonnych marzeniach i o lekkomyślnym przekraczaniu drobnych przepisów oraz przyjętych zobowiązań. Powiadam, zobowiązań, bo po cóż się zobowiązywać, jeśli nie mamy dotrzymać zobowiązania, a jakże można zobowiązania dopełnić, skoro nie będziemy równie słowni wobec siebie jak i wobec drugich?

Następstwa tego rozproszenia są, niestety, zbyt znane, by się tu długo nad nimi rozwodzić. Pierwszym jest niezadowolenie z siebie, które jest rakiem toczącym wszelką pobożność. Z niego wynika przeczulona wrażliwość i chęć obrony wobec sądów ludzkich, która sprawia, iż czujemy, jak łaska modlitwy nas opuszcza, a nasza siła przechodzi w słabość. W takich chwilach zjawia się jakiś nastrój wprost chorobliwy, niweczący nieraz w jednej godzinie wszystko, cośmy zdobyli w tygodniach walki i pięcia się wzwyż. Towarzyszy mu często chorobliwa skłonność do sądzenia i krytykowania innych. Nawet wówczas, gdy łaska działa w nas na tyle potężnie, że unikniemy tak ciężkich błędów, rozproszenie jeszcze potrafi dać się nam we znaki, już to mnożąc nasze roztargnienia podczas modlitwy, już też czyniąc nas zgryźliwymi po Komunii św. i nieufnymi w stosunku do spowiednika, lub wreszcie ostudzając naszą gorliwość w pełnieniu obowiązków i pragnienie pokuty.

Drugą postacią duchowego lenistwa jest **przygnębienie** i upadek ducha. Nierzadko można spotkać osoby duchowne, mówiące o swoim przygnębieniu, jakby to było jakieś doświadczenie wewnętrzne, nakazujące szacunek i godne współczucia, wyrozumienia i osobliwych względów. W rzeczywistości jednak doświadczenie w większości wypadków wykazuje, że można powiedzieć, iż żaden stan życia duchownego nie kryje tyle grzechów powszednich i tyle niegodnej słabości, co właśnie to przygnębienie ducha. Pokorą ono nie jest, ponieważ wiedzie do skarg, nie do cierpliwości. Nie jest też skruchą, gdyż schodzi raczej na samoudrękę niż żal za obrazę Bożą. Duszą przygnębienia jest miłość własna. Gnębi nas nuda dobrego czynu i życia poprawnego.

Najgłębszą tajemnicą naszej radości była ta troska i ta staranność, którą wkładaliśmy w unikanie grzechów powszednich oraz ten przemyślny wysiłek, z jakim wykorzenialiśmy go z nas. Teraz zaniedbaliśmy się w tym i dlatego jesteśmy przygnębieni. A jeśli nawet próbujemy kiedy, jak to czyniliśmy dawniej, odwracać się od nęcącego nas grzechu, to przecie brak nam odwagi zerwać z miłymi nam sposobnościami miejsca i czasu, które nam nastręczają możność popełnienia obrazy Bożej. Uspokajamy się na wpół świadomą pewnością siebie, że nie upadniemy, a nie baczymy, że równocześnie blednie w nas światło Boskiego oblicza i ustaje źródło wewnętrznej radości. Poczynamy szukać chwały u ludzi i smutno nam, gdy nasza praca przechodzi bez echa. W okazaniu się światu widzimy naszą pociechę, ulgę i zadowolenie. Pragniemy, by wszyscy, na których nam zależy, wiedzieli, co czujemy i cierpimy, działamy i podejmujemy. Świat staje się dla nas słoneczkiem, do którego się wygrzewamy. Jakiż więc dziw w tym, że chodzimy smutni?

Jakże wiele jest osób pobożnych, których rzeczywistym celem w dążeniu do doskonałości jest wyniesienie siebie – nie Boga, a jak niewielu zdaje sobie z tego sprawę! Może nie rozminę się z prawdą, gdy powiem, że nigdy nie osiągamy na drodze duchownego postępu tego, co nam się z początku wydaje łatwym do zdobycia. Nigdy nie stajemy na wyżynie podjętego zadania i tutaj nowe źródło przygnębienia. Lecz z jakiegokolwiek stanowiska patrzylibyśmy na ten smutny stan naszego ducha, zawsze odkryjemy jego źródło w braku umartwienia, szczególnie umartwienia zewnętrznego. Streszczając się, rzucamy pytanie, czy widział kto kiedy

przygnębienie człowieka, starającego się być dobrym, które by nie płynęło albo z niedostatku pokory, albo z braku odnoszenia swych czynności do Boga?

Jeśli chodzi o następstwa przygnębienia, to niczym wobec ich rzeczywistości są najbardziej odstraszające opisy. Nic szatanowi nie daje podobnej mocy nad nami. Sam grzech śmiertelny nie udziela mu takiej władzy nad duszą. Przytępia ono działanie sakramentów i niszczy ich wpływ. W gorycz obraca wszystko, co słodkie, same nawet lekarstwa życia duchownego zamienia w truciznę. Pod jego zgubnym działaniem słabniemy do tego stopnia, iż niepodobieństwem nam się wydaje cierpienie i drżymy na samą myśl o umartwianiu ciała. Tak niezbędna do wzrostu w świętości odwaga ucieka z nas, jak woda z dziurawego naczynia, stajemy się trwożliwi i bierni wówczas, gdy winniśmy być pełni odwagi i przedsiębiorczości. Bóg okrywa się jakby nieprzeniknioną dla nas zasłoną, a każdy dzień, spędzony w tym przygnębieniu, pogrąża nas coraz głębiej w przepaść, gdzie nas nie dosięgnie żaden promyk pociechy. Mimo pozornej drastyczności tego zestawienia, bez przesady można powiedzieć, że duch przygnębiony stacza się do stanu Kaina czy Judasza. Zatwardziałość ich obu była wynikiem przygnębienia, pochodzącego z niedostatku pokory, tego owocu działania ze względu na siebie raczej niż na Boga.

Nade wszystko musimy się strzec, by przygnębienie wewnętrzne nie odstręczało nas od zwyczaju komunikowania i od ostrości, które sobie zadajemy. Owszem, musimy przestrzegać ich z większą sumiennością właśnie dlatego, że jesteśmy przygnębieni i niczego bardziej się nie wystrzegać, jak przeprowadzania jakichś zmian w naszym życiu ze względu na tę chmurę, która nam widok przysłoni. Dokładność w drobnych obowiązkach jest źródłem dziwnej radości, a trochę umartwienia, choćby drobnego i niezbyt uciążliwego, lecz stosowanego ze spokojną wytrwałością, odstrasza złego ducha. Korzystajmy chciwie ze sposobności ustępowania drugim, to bowiem rodzi słodycz serca i ducha modlitwy. Za przedmiot rachunku szczegółowego obierzmy wyzyskanie czasu i miejmy zawsze pod ręką jakąś stałą książkę albo zajęcie na wypełnienie wolnych chwil. Nigdy nie ustawajmy w oddawaniu czci Matce Najświętszej, której Kościół nadaje słodkie miano "Przyczyny naszej radości" – niechaj straconym dla nas będzie ten dzień, w którym zaniedbamy zwrócić się do Niej z tym wezwaniem. Wreszcie musimy przestrzegać posłuszeństwa nie tylko co do jakości naszych czynów, lecz i co do

czasu, jaki im wyznaczy nasze postanowienie, reguła, obowiązki rodzinne czy wola spowiednika, albowiem dziwna skuteczność posłuszeństwa zależy nie tyle od tego, co czynimy, ile raczej od czasu i sposobu wykonania zleconej czynności, gdyż życie duchowne polega nie na doborze pewnych czynności, ale na sposobie wykonywania wszystkich naszych czynów w ogóle.

Obok tych dwóch postaci lenistwa: rozproszenia i przygnębienia, pojawia się trzecia; jest nią pewien rodzaj **ociężałości**, jakby ogólnego odrętwienia, które trudno określić, a wystarczy parę rysów, by je rozpoznać. Oto od pewnego czasu utraciliśmy swobodny wgląd w siebie samych. Brak nam świadomości własnego stanu, jesteśmy jak ten podróżny idący omackiem. Wtem zdarza się coś, co w nas budzi świadomość naszego położenia. Spostrzegamy, iż ciągle czynimy postanowienia i ciągle je łamiemy. Stały się one częścią naszej modlitwy porannej, by w godzinę lub dwie ulotnić się z naszej myśli, jakby nigdy w niej nie zaistniały. Nawet gdy sobie zdamy z tego sprawę i próbujemy w czyn je wprowadzić, okazują się one jakieś miękkie, bezsilne, zmartwiałe. Wprawdzie nie zamykamy uszu na poruszenia łaski, które odbieramy każdej godziny, lecz odkładamy ich wykonanie, tymczasem pora stosowna mija, wzywa nas jakiś obowiązek i jest już za późno. Tym sposobem trwonimy mnóstwo natchnień, przez Boga nam zesłanych.

To jedno wystarczyłoby. Ale tu się dołącza jeszcze fizyczne uczucie naszej niezdolności do jakiegokolwiek wysiłku. Zdaje się nam, jakby o żadnym przełamaniu się mowy być nie mogło i tak powoli słabość ducha przeobraża się w ułomność cielesną, którą nawet nierzadko sprowadza. Głuchniemy wówczas na głos sumienia, opryskliwie przyjmujemy przestrogi i upomnienia oraz wszelkie próby rozbudzenia w nas życia z wiary. Cokolwiek ktoś czyni, zawsze wydaje się to nam niewczesnym i bezsensownym. Bez żadnego powodu rzeczy i ludzie wydają się nam dziwnie obmierzli i nudni, poddajemy się owemu "duchowi bezpodstawnego podrażnienia", który znamionuje paralityka, po mistrzowsku przedstawionego przez Walter Scotta w postaci Chrystala Croftangry. Zdawałoby się, że życie dla nas już się wyczerpało, żeśmy stanęli u kresu spraw ludzkich, że poprzez górne pokłady bytowania zamajaczyło nam to, co Bossuet określa jako "nieznośną nudę, która stanowi dno życia ludzkiego". W tym stanie już nie z roztargnieniem, ale z opieszałością zbywamy naszą modlitwę, nawet do

sakramentów odnosimy się z rodzajem występnego nieuszanowania i poufałości wprost nie do pomyślenia. Istotnie pozostajemy pod wpływem niesmaku i zaniedbania, jak gdybyśmy utracili zdolność myślenia poważnie i wpadali w jakieś oszołomienie czy sen hipnotyczny, gdy chodzi o rzeczy duchowne. Do tego stanu zmierza zawsze rozproszenie, jeżeli więc mieliśmy nieszczęście nie oprzeć się żadnemu z poprzednich jego stopni i jęczymy teraz pod jego uciskiem, musimy się dźwignąć i jąć się pracy z takim wysiłkiem, jak gdyby chodziło o grzech śmiertelny.

Czwartym rodzajem lenistwa duchowego jest tzw. **pracowite próżnowanie**, które stanowi wielką pokusę dla ludzi czynu, gdyż jak powiedziałem, lenistwo dogadza wszystkim usposobieniom, lecz każdemu charakterowi w odrębnej postaci. W rozrywce nic nie ma, co by przeszkadzało naszemu złączeniu z Bogiem, ale jest wiele próżnych zajęć, w których tylko tracimy czas i których prawie niepodobna odnieść wprost i świadomie do chwały Bożej. Trudno podać ścisłe różnice, ale każdy wie, iż co innego jest wypoczynek, a co innego próżnowanie i że próżnowanie częściej się tai w niepożytecznym i dziecinnym zajęciu, niż w zupełnej bezczynności. Na przykład są pewne lektury, same w sobie niezłe, lecz rozpraszające nas, ponieważ stanowią kopalnie roztargnień na modlitwie lub odżywkę dla przyszłych pokus, dostarczając im żywych obrazów, albo okazują się dla nas niebezpieczne, gdyż nadmiernie nas pochłaniają – w tych wszystkich wypadkach, mimo rozumowych racji za ich nieszkodliwością, w głębi serca czujemy wyrzut, który przy dobrym stanie duszy winien starczyć za zakaz. Przy dzisiejszej taniości i sprawnym funkcjonowaniu poczt i telefonów, winniśmy więcej uważać na naszą korespondencję. Czyż bowiem tak dużo przesady jest w powiedzeniu, iż każdy list jest mniejszym lub większym zubożeniem naszej duchowności? A jeśli tak się rzecz ma, to czyż nie powinniśmy wziąć sobie za zasadę unikanie zbytecznych korespondencji, o ile nas do tego pisania nie zmusza wzgląd na interesy, stosunki społeczne czy więzy uczucia?

Czas jest drogi i mało go mamy, a jednak jak wiele go się obraca na pisanie listów i jakże często słychać wymówkę, iż to nic nie szkodzi, gdyż to dla nas prawdziwe umartwienie! Ziemskie przywiązania przez korespondencję mnożą się i zacieśniają, ponieważ wraz z nią wzrasta ilość przedmiotów naszej troski, przyłączają się nowe powody zdenerwowania i niepokoju, podsycają się związki

ciała i krwi, które w czasach dzisiejszych urastają do miary bałwochwalstwa, wydając walkę tężyźnie i męskości uświęcenia chrześcijańskiego.

Pisanie listów działa ujemnie także na wrodzoną nam skłonność do przesadzania. Wyrażamy się w sposób wyszukany, a przesada stylu przenosi się często na uczucie. Poczynamy przykładać fałszywą miarę do oceny rzeczy i zjawisk, ekscytujemy się wypadkami bez znaczenia, z napięciem oczekujemy wyniku rzeczy błahych i niegodnych wzmianki. Czymże jest podwórko rodzinnych kłopotów, jeśli nie splotem drobiazgów, wyolbrzymionych przez środowisko? Na każdym kroku przypominają się tu słowa pisarki Wordsworth, włożone w usta prawdziwego biedaka z fabryki:

Słyszałem sąsiadów wieczorne biadania

na głupstwa, które ni ziębią ni parzą.

Zatracenie wyczucia rzeczywistości jest tylko nieuniknionym skutkiem bezużytecznej korespondencji, gdyż rozdmuchiwanie drobiazgów jest zabijaniem poczucia prawdy. Sakramenty i modlitwa kurczą się do nieproporcjonalnych rozmiarów wobec tak nas pochłaniających trosk dotyczących dzieci, mieszkania, wizyt, projektów na zimę czy lato. Omawiając to wszystko ze śmieszną powagą, tworzymy w swych listach formalną powieść o nas samych, pociągając wszystko sztucznym pokostem, albowiem życie nasze w istotnej swej prawdzie zbyt często jest duszne i niezdrowe. A jeśli nawet zejdziemy w nich na tematy duchowne, to czasem bywa jeszcze gorzej, bo czy wówczas nie roi się w nich od obmów, zrzędzeń i plotek duchownych?

Stawianie zamków na lodzie jest inną gałęzią tego pracowitego próżnowania i to nie najniewinniejszą. Czy schwytał się kto na tych bezpłodnych marzeniach, żeby jednocześnie nie przyłapać się na wprowadzeniu do nich własnej chwały, jako głównej sprężyny? Czyż można spędzić godzinę na rojeniu o wielkich jałmużnach, o znoszeniu strasznych cierpień po bohatersku, o ponoszeniu męczeństwa, o nawracaniu narodów, o rządzeniu kościołem, o zakładaniu szpitali, o wstępowaniu do ostrych zakonów, o przykładnej śmierci, o działaniu cudów nad własną trumną, by mimo całej duchowności tych marzeń, nie stać się przez nie i płytszym i **naiwniejszym** i głupszym i bardziej próżnym niż przed godziną? Tą drogą

dochodzi się do podziwiania różnych rzeczy bez zamiaru urzeczywistnienia ich w swym życiu. Jest to gorsze od zaczytywania się w powieściach, gdyż tu i piszący i czytający jest jedną osobą. Podwójnie więc zatruwa się jadem zarozumiałości i przeczulenia. Stąd pochodzi ów posmak chłopięcości, którym zalatują pewne nasze poczynania i to ogólne obniżenie poziomu, zdradzające się w naszych myślach, uczuciach i postanowieniach.

Niech nas te silne słowa nie dziwią, gdyż stawianie zamków na lodzie wycieńcza i znieprawia duszę. Przechodzi nad nią jak wyziew trujący, po którym nie ostaje się nic świeżego, zielonego i owocodajnego, ale ogólne znużenie, zrzędliwość i uprzykrzenie myśli o Bogu.

Nie ulega wątpliwości, iż życie jest nudne. Lecz jest rzeczą zdumiewającą, jak wcześnie odkrywają to młodzi. Istotnie, ciężar świadomości tej tępoty życia jest znacznie dotkliwszy dla młodzieży męskiej i żeńskiej, niźli dla ludzi dojrzałych. Stąd pochodzi zjawisko, iż szczególnie młodzi zwykli oddawać się marzeniom. Ma to miejsce zwłaszcza, gdy chodzi o dzieci pozbawione rodzeństwa, wychowywane w domu lub w zakładzie, nie posiadającym dostatecznej ilości rozrywek, niezbędnych przy roztropnym wychowywaniu, albo o sieroty, przebywające u krewnych, lub dzieci wdów, otoczone atmosferą smutku i cichej melancholii. W tych warunkach dzieci niezwykle łatwo nabywają skłonności do tzw. *powieści myślowych*, znajdując w nich pewną rozrywkę dla siebie, powieści, których tłem są własne przeżycia, nie zawsze tak bezpieczne, jakby się zdawało. Rodzice i opiekunowie winni do tego nawyku odnosić się z największym uprzedzeniem i natychmiast zastosować surowe środki zapobiegawcze, chociażby miało dojść do rozłączenia się z dzieckiem na pewien czas, ten bowiem objaw marzycielstwa grozi zatruciem całego przyszłego życia. On to jest po większej części przyczyną nieszczęśliwych małżeństw. Nie wyobrażam sobie u dzieci nałogu tak grzesznego, któryby mnie bardziej przerażał, jak ta właśnie marzycielskość; tak jest ta trucizna żrąca, uparta i dalekosiężna. Żywot Pani Gaskell, opisany przez Szarlotę Brontë, najdosadniej maluje nam grozę spustoszenia, jakie po sobie zostawia marzycielstwo w swej najłagodniejszej postaci, w której osoba marzyciela ukazuje się możliwie rzadko w toku urojonych przygód. Dusza, skażona tym nałogiem, staje się cieplarnią wszelkich występków. Grzech rozrasta się w niej z egzotyczną bujnością.

Jeśli chodzi o następstwa, to lepiej takiemu chłopcu czy dziewczynce byłoby, żeby przez całe życie karmili się najbrudniejszymi powieścidłami, niż by mieli być dotknięci nałogiem tworzenia powieści w swej głowie. Trzeba by osobnej rozprawy, aby opisać wszystkie zakamarki tego nieszczęsnego nałogu. Starajmy się wierzyć, że żaden zły nałóg nie jest nieuleczalny; ale czyż wielu się znajdzie pomiędzy nami takich, którzy mieli pociechę ujrzeć jednego takiego nałogowca wyleczonego gruntownie?

Złe użycie rekreacji jest dostatecznie ważne, by je wymienić jako piątą postać duchowego lenistwa. Już powiedziałem, że rekreacja jest czynnikiem o niezmiernej doniosłości w życiu duchownym. Świadczy o tym cała tradycja Kościoła; wątpię, czy istniał kiedy jaki dom zakonny, któryby przez dłuższy czas zachował swą karność, nie przestrzegając rekreacji, które są tradycyjne po wszystkich zakonach. Albowiem zakon bez tradycji jest zakonem bez życia, przynajmniej bez pełni życia dojrzałego. Bez nich jest on już trupem, albo jeszcze chłopięciem. Dziwnie brzmi to w uszach człowieka świeckiego, że rekreacja jest obowiązkiem w domu zakonnym; jednak fakt ten stanowi tylko cząstkę onej niebiańskiej mądrości, która była udziałem wszystkich zakonodawców. Jednak poza zakonem rekreacja jest rzeczą bez porównania trudniejszą, ponieważ trudno jest ustalić pewne wskazania dla ludzi świeckich w tym względzie. Jedno, co da się powiedzieć, to że ogromnie dużo zależy od wyboru rozrywki. Musi ona się zgadzać zarówno z naszym stanem jak i ze stopniem, który osiągnęliśmy w życiu duchownym. Musi odpowiadać wrodzonemu usposobieniu i nie narażać nas na towarzystwo z ludźmi, którzy mogą nas skrzywdzić na duszy. Inna rzecz stopień oddania się zabawie. Na oku mieć należy chwałę Bożą i nigdy nie wyzbywać się umiarkowanej obawy rozproszenia. Przy tym zabawa winna się dziać zawsze w swoim czasie, poza którym zwykła sprowadzać utratę łaski.

Niełatwo jest przesadzić, gdy się wylicza korzyści dobrze spędzonej rekreacji. Umysł nie może być ciągle napięty. Trzeba niekiedy spuszczać cięciwę z łuku, by się nie zepsuł. Podobnież dobrze spędzona rekreacja sprawia trzy rzeczy: Ochrania zdobyte łaski przed najmniejszym uszczerbkiem, broniąc nas przed ostygnięciem zapału. Miłość Boża, towarzysząca nam w pracy, przelewa się także na chwile wytchnienia i w ten sposób nawyk skupienia pozostaje nietknięty, a my w naszej

zabawie pozostajemy nadal u boku swego Ojca niebieskiego, jak pozostawaliśmy w pracy i cierpieniu. Rekreacja po wtóre nie tylko osłania gotowe nabytki, ale przysparza nam siły i świeżości, ochoty i dziarskości do przyszłej pracy. Dawne łaski się utrwalają, budzi się pragnienie nowych. Mówi się o dzieciach, że więcej rosną we śnie niż na jawie. Podobnie rzec można o rekreacji. To jest jej trzecia funkcja. Podczas niej rośniemy. Nie oznacza ona żadnego zastoju. Jej błogosławione działanie sięga nie tylko wstecz i wprzód, lecz spływa i na chwilę obecną, gdyż oznacza aktualny wzrost. To pomnaża naszą radość, a uprzyjemniając nam pobożność, potęguje naszą energię. Ogromna zasługa rekreacji kryje się już w tym, że zabezpiecza nas przed grzechem, zajmując wolne chwile, w których słabość naszej natury zmusza nas do odwrócenia uwagi od rzeczy nadprzyrodzonych. Jej zawdzięczamy uchronienie nas od tysiąca grzechów myśli i od niepotrzebnych rozproszeń umysłu i serca. Lecz to tylko drobna cząstka jej dobrodziejstw. Jej właściwe zadanie jest niemniej doniosłe dla życia duchownego niż sen dla ciała; podobnie też jak sen wymaga ona ujęcia w mądre, stosowne i mocne prawidła.

Swoje uwagi o rekreacji zamknę radą Scaramellego. Jeśli nasz umysł pragnąłby jakichś odchyleń od doskonałości, jakichś zbytecznych rozrywek, pogwarek czy udogodnień, których nie domaga się ani zdrowie ciała ani spełnienie obowiązków stanu, prawo doskonałości żąda bezwzględnego zaparcia się siebie. Wiem, że te wszystkie ulgi są pokarmem słabych na duchu, o których mówi Apostoł: *Kto słaby, jarzyny niech jada* – pozbawieni pociech, którymi łaska darzy dusze czyste, sycą swój głód i swe wyczerpanie u ziemskich żłobów. Ryszard od św. Wiktora powiada, iż człowiek znajduje w swej własnej naturze pokarm pełen słodyczy, poza tym zaś szuka go w rzeczach zewnętrznych, jak pomyślność i powodzenie. Lecz nie jest to ów pokarm duchowy, którym krzepił się Chrystus. Niemniej jednak jest to pokarm niedoskonałych, jarzyna słabujących: częstokroć nawet pożyteczny, gdyż częściowo łagodzi i uzdrawia chorobę odrętwiałości, którą na duszę sprowadza brak łaski. Ale osoby, które poważnie dążą do doskonałości, winny się wyrzec tych niepotrzebnych przystawek, by się tak bardziej przysposobić do uzyskania od Boga większej obfitości łask i błogosławieństw niebieskich. Jeśli umysł nasz domaga się czegoś z pożywienia, snu, ubrania czy wypoczynku, przydatnego do zachowania życia i zdrowia, czy do lepszego zadośćuczynienia obowiązkom, lub czegoś, co posłuszeństwo, słuszność czy zdrowy rozsądek uznają

za wskazane, pójdźmy za jego żądaniem i zaspokójmy nasze potrzeby. Lecz w tych wypadkach osoba duchowna musi troskliwie oczyszczać swoją intencję, by przychylać się do tego jedynie przez wzgląd na wolę Bożą, a nie na własne pragnienie, by szukać w tym upodobania Bożego, a nie własnego. Mają to być raczej ustępstwa dla słabości natury, dyktowane niejako wrodzonym instynktem, a nie dogadzanie sobie, tak by nawet przy tych koniecznych ustępstwach znaleźć sposobność sprzeciwiania się swym popędom i postępowania jedynie za wolą i upodobaniem Bożym. Tym sposobem możemy zadośćuczynić swym potrzebom bez narażania na szwank naszego postępu duchownego. Wiem, że te rzeczy są trudne w zastosowaniu, ale św. Bernard mówi, że wystarczy złożyć swą nadzieję w Bogu, a wszystko da się zrobić w myśl zdania: *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia* (1).

Ogólna **obojętność co do wyzyskania naszego czasu** jest szóstym objawem duchowego lenistwa. Użytkowanie czasu jest przedmiotem bardzo obszernym i donioślejsze posiada znaczenie, niż zwykło sądzić wiele osób dążących do doskonałości. Belecjusz w swym dziele o rzetelnej cnocie posiada całą księgę, poświęconą chwili rannego wstania, które przecie stanowi drobną ledwie cząstkę naszego czasu. Musimy pamiętać, iż czas jest surowcem, z którego wykuwamy naszą wieczność, że jest on drogi i nieodzyskalny, że wreszcie przyjdzie nam z niego zdać ścisły rachunek. Błędy nie do naprawienia są rzadkie, ale strata czasu do nich należy; a skoro pomyślimy, jak łatwo, jak często, jak niepostrzeżenie, jak zdradliwie ten błąd się wkrada, zrozumiemy cośkolwiek jego rzeczywiste niebezpieczeństwo. Lenistwo, jak już raz kogoś opanuje, staje się okrutnym samodzierżcą, daje mu odczuć swe kajdany przy każdym poruszeniu, nawet w chwilach bezczynności. Ale jest to niewola nie pozbawiona swej przyjemności, a przez to tym niebezpieczniejsza. Jednak najzdradliwszym jego rysem jest utrzymywanie nas w złudzeniu. Żaden próżniak nie uwierzy w swoje próżniactwo, wyjąwszy chwile szczególnego oświecenia przez łaskę. Nikt nie pojmie, jak szalenie szybko tworzy się nałóg marnowania czasu. Przełamanie go zaś wymaga ogromnego wysiłku woli, na jaki tylko niewielu się zdobyć może. Przestrzeń, która ten stan dzieli od oziębłości, maleje z niezwykłą chyżością. Każda godzina ze swymi jednominutowymi niedbalstwami obciąża i krępuje duszę, dopełniając strasznej miary win przed obliczem Boskiej sprawiedliwości. Nasze życie staje się żywym przeciwieństwem

życia Bożego. Jego drobiazgowa znajomość naszego stanu w każdej chwili stoi w straszliwej sprzeczności z naszym półświadomym pół-nieświadomym zapomnieniem i zapoznaniem Jego obecności. Wątpię, czy ścisłe i sumienne użycie czasu może podobnie, jak inne cnoty, przejść w nawyknienie. Obawiam się, że czas jest przedmiotem, który wymaga ciągłej czujności w ciągu całego życia. Jest on chybkim potokiem, którego każda fala mknie wartko ku morzu, unosząc z sobą wierne świadectwo o nas, by je złożyć u tronu Boga. Strach nam pomyśleć, iż taki św. Alfons ślubował uroczyście Bogu nie stracić ni jednej chwili czasu. Rozumiemy dobrze, że człowiek o takiej pokorze i roztropności, ważący się na takie zobowiązania, musiał być wyniesiony przez Kościół na ołtarze.

Siódmą i ostatnią postacią duchowego lenistwa jest **gadatliwość**. Tomasz à Kempis wyznaje, iż nigdy mu się nie przydarzyło, by po rozmowie wrócił do swej izdebki, nie będąc gorszym, niźli z niej wyszedł, a inny mąż świątobliwy mawiał, że nigdy nie żałował słowa przemilczanego, natomiast często przytrafiało się mu żałować poniewczasie słów wyrzeczonych. Ileż nam to rzuca światła na życie Świętych! W życiu duchownym, ilekroć dusza znużona szuka folgi lub rozrywki niedozwolonej, rzeczą po marzycielstwie najniebezpieczniejszą jest gadatliwość, która bywa jedną z najpospolitszych pokus. Jedni czują pokusę gadania z kimkolwiek, kto się okaże chętnym słuchaczem; inni upatrują przyjemność w wynurzaniu swych uczuć wobec niektórych tylko, sobie sympatycznych. Niektórzy mają pokusę do mówienia tylko w czasach i o rzeczach nieodpowiednich, co zwykło pochodzić niekiedy z poduszczenia szatańskiego, niekiedy zaś z ludzkiej słabości. Jako ogólną zasadę można przyjąć, że u osoby pobożnej wszelkie wylewy uczucia poza modlitwą są niepożądane bez względu na to, czy przedmiotem ich jest Bóg, czy jakaś rzecz obojętna. Nie chodzi tu o przedmiot. Zło tkwi w wylewaniu się na zewnątrz. Roimy często, że tym uśmierzamy pokusę. Nic fałszywszego w świecie. Wyjąwszy pewne pokusy, właśnie milczenie nas krzepi, podczas gdy wylanie osłabia nas i nadwątla. Osoby pobożne, nim wkroczą na szlaki Świętych, zwykły być gadatliwe i ta przywara najczęściej opóźnia chwilę ruszenia śladami Świętych lub w ogóle udaremnia ich postęp.

Każda z tych siedmiu postaci lenistwa mogłaby oczywiście tworzyć przedmiot osobnej rozprawki, lecz dla mojego celu wystarczy to, co powiedziałem.

Doskonałość na świecie jest sprawą niezmiernie trudną i na wiele napotyka przeszkód. Największą z nich jest zapewne lenistwo, które ludziom świeckim najbardziej utrudnia wzrastanie w świętości. Wszystko, co nas tam otacza, jest małoduszne i pełne przesady. Powszechnie przyjęte zasady i myśli są małostkowe i płytkie. Atmosfera nużąca. Okrzyczane wielkości świata to wydęte pęcherze nagminnej głupoty. Czułostkowości religijnej tam pod dostatkiem, nabożnej fanfaronady aż do znudzenia, tylko zdrowego umartwienia i szczerej, męskiej pobożności, niestety, bardziej brak, niżby można było przypuszczać, gdyby sam fakt nie był dostatecznie pewny. Wszystko to ciągnie nas do wałkonienia się i do lenistwa. Nieraz świat podziwia niezwykłą pogodę u osób zakonnych. Jest ona owocem reguły i życia zakonnego, które je chroni przed lenistwem. Jeśli nie mamy tych pomocy, tym więcej trzeba nam się lękać owego nieprzyjaciela.

Niebezpieczeństwo lenistwa i jego groźne skutki trzeba zaliczyć między osobliwych wrogów dążenia do świętości na świecie. Wiemy już, że w staraniu się o doskonałość pośród zajęć światowych brak reguły zakonnej należy zastąpić szczególnym ćwiczeniem się w cnocie cierpliwości. Teraz postanówmy dodać do tego usilną troskę o roztropne wyzyskanie czasu i o odpowiednie spędzanie chwil wytchnienia, by uniknąć niebezpieczeństw, przed którymi chroni zakonników życie wspólne, mądrze obmyślane przez ich zakonodawcę. Głównym zaś odcinkiem naszej walki musi się stać lenistwo – w przeciwnym razie nigdy nie osiągniemy tej doskonałości, którą Święci podają za dostępną dla ludzi świeckich.

O. Fryderyk William Faber, *Postęp duszy, czyli wzrost w świętości*. Z oryginału angielskiego przełożył ks. Wacław Zajączkowski SI, Kraków 1935, ss. 267-289.

Przypisy:

(1) *Discernimento degli spirit. sect. 272, 273.*

DROGA

DZIECIĘCTWA DUCHOWNEGO

ROZMYŚLANIA NA WSZYSTKIE DNI ROKU

O. LEON PYŻALSKI CSSR

Marnotrawne syny i córki

1. Nie ma i być nie może smutniejszego widoku nad ten, gdy dziecię Boże dobrowolnie wyzbywa się swojej godności, odwraca się od swego Niebieskiego Ojca i opuszcza Go, aby szukać zadowolenia serca w marnościach, w ułudach, w brudzie. A jednak ten widok tak często się powtarza. Nawinęło się oto tej duszy stworzenie marne i grzeszne, jak ona, ale pokryte płaszczykiem ziemskich wdzięków i urody, a już zapomina nieszczęsna o Boskim swoim szlachectwie zwraca się ku tej ułudzie i obraża może ciężko Ojca swego w niebiesiech, który przecież jest Dobrem nad wszelkie dobra i Pięknością odwieczną i istotną. Dla marnego zysku doczesnego wyrzeka się inna Bożego dziecięctwa. Wygoda ciała, chęć dogodzenia mściwości swojej czy innej niskiej namiętności, po wiele wiele razy stają się przyczyną, iż umiłowane przedtem dzieci Boże odchodzą daleko od Boga. I jakże się dziwić tej skardze Ducha Świętego wyrażonej u Izajasza proroka: "*Słuchajcie niebiosa a weźmij w uszy ziemio: wychowałem syny i wywyższyłem a oni mną wzgardzili*" (1, 2)...

A następnie spojrzyj w duchu, duszo chrześcijańska, na te niezliczone wprost szeregi dzieci Bożych może już nie wprost wyrodnych, zbuntowanych, marnotrawnych, ale tak obojętnych i zimnych wobec Ojca swego w niebiesiech i miłości Jego niewypowiedzianej, że nie wahają się dobrowolnie i świadomie zasmucać Go i ranić Ojcowskiego Jego Serca, ile razy wzgląd na nieporządną miłość własną do tego ich nakłania. Lekkomyślnie i niejako uśmiechając się obrażają Boga,

gdy tymczasem aniołowie w smutku głębokim zakrywają oblicza swoje bolejąc serdecznie nad niewdzięcznością tak wielkiej rzeszy dzieci Bożych.

Oby przynajmniej pozostała garstka była radością Serca Bożego! Czy tak jest istotnie? Dzięki Bogu Najwyższemu były zawsze i wszędzie dusze oddane Bogu z bezwzględną wiernością, dusze, które najdrobniejszego nawet zastrzeżenia nie czynią w stosunku do Boga i stają się tak całopalnymi ofiarami ku czci i chwale Jego. Ale czyż wielka, przeważająca część dzieci Bożych nie należy do liczby obojętnych, niedbałych? Czy owe dusze płonące żywym ogniem miłości Bożej i bez zastrzeżeń oddane Bogu nie stanowią rzadkich jedynie choć chlubnych wyjątków?
I czy to spostrzeżenie nie jest zdolne głębokim smutkiem przejąć tych wszystkich, którzy naprawdę Boga kochają?

Jedno wszakże powinno cię skutecznie pocieszyć, duszo miłująca – ta mianowicie prawda, że jedna dusza oddana Bogu naprawdę bez zastrzeżeń miłością swoją tysiąckrotnie wynagradza Bogu obojętność i niewdzięczność milionowych nawet zastępów.

O Panie mój umiłowany, dla Twojej własnej chwały i radości Twego Bożego Serca, wzbudź, proszę Cię, jak największą liczbę takich serafinów na ziemi!

2. Ciesz się radością serdeczną, o duszo pobożna, której Bóg przed oczy stawia powyższe prawdy, bo oto i ciebie powołuje ten Bóg nieskończenie dobry, byś Mu dawała zadośćuczynienie za tych, co więcej smutku, niżeli radości, sprawiają ojcowskiemu Jego sercu.

Ależ ja sama należę do niewdzięcznych – powiadasz ze smutkiem.

Więc słuchaj, co Bóg mówi do ciebie: Większa jest w niebie radość nad jedną duszą, która co chwila upadając skutkiem przyrodzonej krewkości swojej co chwila także wybucha uczuciami żalu i miłości i tym goręcej stara się miłować, im głębiej poprzednio zraniła niewiernością swą Serce Boże – niż nad 99 takimi, które za sprawiedliwe się mając, nie widzą, za co by miały Boga tak nieustannie przepraszać i tyle trudu sobie zadawać, by Boga kochać miłością więcej, niż przeciętną... Możesz zatem i ty, duszo dobrej woli, mimo tak liczne i ciągle się powtarzające upadki swoje, być serafinem na ziemi i pomagać aniołom w spełnianiu ich zadania,

przepraszając Boga za niewdzięczność i obojętność marnotrawnych braci i sióstr twoich. Lecz pod jakim warunkiem? Byleś nigdy nie kochała grzechu choćby najmniejszego, byle jedno ustępstwo uczynione niebacznie miłości własnej wywoływało u ciebie całe szeregi dobrowolnych ofiar składanych Bogu na zadośćuczynienie, byle po jednym upadku następowały tysiączne akty serdecznego żalu i dziecięcej prawdziwie ku Bogu miłości.

Tak! dziecięca niech będzie twoja miłość, dziecięce całe twe usposobienie, dziecięce twe serce, dziecięcy wszystek twój stosunek do Boga. Jako dziecię kochające, gdy ujrzy smutek osiadający na obliczu ukochanego ojca, nie spocznie, aż go pieszczotami swymi znowu uweseli, tak i ty, duszo droga, pieszczotami swymi pozyskuj sobie Serce Boże, pieszczotami je uweselaj, pieszczotami ciągłych choć drobnych ofiar, pieszczotami nieustannych aktów miłości i najdoskonalszego oddania się. Im więcej wokoło siebie spostrzegasz niewdzięcznych i obojętnych, tym gorliwiej usiłuj za to zadośćczynić Ojcu swemu w niebiesiech. Im liczniejsze i cięższe były dawniejsze winy twoje, tym goręcej kochaj teraz. A zawsze miej przy tym na względzie nie tyle własną duchowną korzyść swoją, jak raczej upodobanie i radość Serca Bożego. Bądź nie tyle sługą ile raczej dzieckiem Bożym, ale dzieckiem kochającym aż do szaleństwa. O najsłodszy Ojcze mój w niebie, pragnę Cię ukochać goręcej, niż Cię kiedykolwiek kochano na ziemi! O błagam Cię, pociągnij mnie ku Sobie!

Droga dziecięctwa duchownego. Rozmyślania na wszystkie dni roku. Napisał O. L. Pyżalski C. Ss. R. Część I. Wydanie drugie. Kielce 1928. NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. JÓZEFA NA KARCZÓWCE.

UTARCZKA DUCHOWA

CZYLI NAUKA POZNANIA, POKONANIA SAMEGO SIEBIE,

I DOJŚCIA DO PRAWDZIWEJ DOSKONAŁOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

KS. WAWRZYNIEC SCUPOLI

———

O czasie jakiego użyć należy na nabycie cnoty i znakach po jakich poznać można, żeśmy znacznie w niej postąpili

Nie możemy stanowczo i w ogóle naznaczyć czasu, jakiego potrzeba do nabycia jakiej bądź cnoty, zawisło to od stanu i usposobienia, w jakim zostajemy, od usilności postępu po drodze duchowej, od kierunku tego, kto nas po niej prowadzi; niezawodną jednak jest rzeczą, że jeżeli do tego z pilną, wskazaną powyżej, usilnością się weźmiemy, w kilku tygodniach znaczny możemy uczynić postęp.

Najpewniejszą zaś jest poznaką znakomitego w doskonałości postępu, jeśli mimo wszelkich niesmaków, niepokojów, mimo wszelkich oschłości i ogołocenia z pociech wewnętrznych, trwamy przecież mężnie w przedsięwziętych ćwiczeniach pobożności. Drugim niemniej pewnym tego postępu znamieniem jest, jeśli namiętność, skłonność wrodzona nasza, zwyciężona, podbita pod panowanie rozumu, nie może już nam przeszkodzić, abyśmy nie mieli wykonywać ćwiczeń cnoty; o ile bowiem ta skłonność pokonaną, osłabioną zostaje, o tyle cnota utrwala się i rozkrzewia w duszy naszej. Jeżeli zatem w niższej części duszy, nie czujemy już oporu, niby oburzenia się i rokoszu w wykonywaniu cnoty, już mamy pewność, żeśmy nawykli do cnoty i im łatwiej nam przychodzi wykonywać ćwiczenia tej cnoty, tym w niej nawyknienie jest doskonalsze.

Nie podchlebiaj jednak sobie, żeś już na wysoki stopień wstąpił świątobliwości, ani też żeś całkowicie pokonał złe skłonności, kiedy od pewnego dość długiego czasu i po wielu mężnie odpartych utarczkach, nie czułeś żadnej pokus natarczywości. Wiedz, że w tym często mieści się ułuda szatańska i oszukanie zepsutej natury, która na pewny czas, jakby przytłumiona zostaje. Skąd wypływa, że przez tajemną pychę, bierzemy często za cnotę, co jest jedynie wynikiem złości i podstępu wroga. Nadto, jeśli zastanawiasz się synu, nad

wzniosłością duchowego życia, do jakiego cię Bóg wzywa, mimo wszelkie usiłowania, jakie mogłeś w dopięciu tego kresu uczynić, zawsze się znajdziesz daleko od niego oddalonym. Powtarzaj przeto twe zwykłe ćwiczenia duchowe, tak jakbyś je dopiero wykonywać zaczynał, a nie ustawaj nigdy w swym pierwotnym zapale.

Pamiętaj synu, że lepiej jest przykładać coraz nowych starań do postępu w cnocie, niż ciekawie zastanawiać się i badać, jak daleko w niej zaszedłeś; albowiem Bóg, który sam przenika i poznaje serca, niektórym osobom odkrywa tę tajemnicę, a najczęściej nie objawia jej innym, według tego, jak je widzi skłonne, albo do upokorzenia się z takiej wiadomości, albo też do podniesienia się w próżność; i tym sposobem, ten dobry, pełen mądrości Ojciec, usuwa sposobność słabym szkodzenia sobie, a innym znowu nastręcza okazję do przymnażania cnoty. Choćby zatem twa dusza synu, nie dostrzegła swego w cnocie postępu, nie masz jednak pomijać swych ćwiczeń pobożności, dostrzeżesz to bowiem wtenczas, jeśli się Bogu podoba, jeśli to będzie z większym dla ciebie dobrem.

Utarczka duchowa czyli nauka poznania, pokonania samego siebie, i dojścia do prawdziwej doskonałości chrześcijańskiej. Przez Księdza Scupoli, Teatyna. Przełożył z francuskiego X. S. U. W. C., Warszawa 1858, ss. 125-127.

Pismo rzymskokatolickie powstałe przy współpracy ze stroną internetową www.ultramontes.pl

Omnia ad honorem Omnipotentis Dei, Virginis Mariae et Ecclesiae Romanae!